

paczkę zaś z banknotami wcisnąłem pomiędzy siebie a moją sąsiadkę. W pewnej chwili sięgając po pieniądze, ujrzałem próżnię. Obok mnie, zamiast kobiety już siedział żołnierz.

— Gdzież jest ów żołnierz?

Kasjer podniósł wskazujący palec w zamiarze pokazania mi żołnierza, lecz natychmiast go opuścił.

— Żołnierz już wysiadł, niestety!

Pomimo woli zakląłem.

— Daj mi pan natychmiast konduktora!

Okazało się, że w czasie zaginięcia pakietu, konduktor znajdował się na imperjału. Oświadczył, iż kurs jest wyjątkowo ruchliwy; w ciągu dość długiego kursu zmieniali się pasażerowie nieustannie. Zatopiony w czynnościach wydawania „ticketów”, owej pasażerki nie zauważył.

— Panie agencie, człowiek niema czasu nosa utrzyć, cóż dopiero przyglądać się pasażerom! Z pomiędzy tych ostatnich, tylko pewna młoda służąca zauważyła, iż „pani” była młoda, miała ciemny kapelusz i „zdaje się” szare letnie palto.

— Czy rzeczywiście szare? Może zielone?

— Na to nie będę przysięgała. W każdym razie była w paltocie.

Podniosłem z podłogi dwa zużyte bilety tramwajowe, nakreśliłem na nich potrzebne notatki i chwilę później znalazłem się w komisariacie.

Nowy komisarz polecił mi zająć się śledztwem w tej sprawie. Przyznał mi, że poszło mi to bardzo nie w smak. Chciałbym się popisać przed nowym zwierzchnikiem, mojem doświadczeniem i zręcznością, gdy tymczasem sprawa była zupełnie nie do załatwienia.

Odwiedziłem kasę główną zarządu tramwajów i konferowałem z niektórymi urzędnikami. Zaginiony pakiet składał się jak na nieszczęście z banknotów już nie nowych. Kasjer, który owe 115.000 fr. doręczył płatnikowi wiedział to jedynie, że część banknotów była w tysiącach, część zaś w drobniejszych, bo tak żądał przedsiębiorca, czyniący wypłaty robotnikom.

Wyszedłem z tamąd zły jak chrzan. Ani się na czem oprzeć, ani o co zaczepić: słowem szukaj wiatru w polu. Podążyłem na stację policyjną przy ul. Rivoli i wdałem się w rozmowę z posterunkowymi, którzy w danym czasie otrzymali dyżury na ulicy. Niegodziwcy byli zadowoleni, że nie oni wzięli ten interes na barki. Pozatem nikt z nich oczywiście nie widział ani nie mógł zauważyć przeciętnej damy, odzianej zupełnie przeciętnie.

Wiadomość o kradzieży w tramwaju nazajutrz z rana obiegła prasę bankową. Przy raporcie rannym, komisarz zagadnął mnie:

— Cóż, jakże tam z kradzieżą tramwajową?

Ja zaś nadrabiałem miną i odrzekłem coś bez związku, jedynie aby nowego szefa nie pozostawić bez odpowiedzi.

Tak minął tydzień i drugi. Zajęty innemi, pomyślniejszemi łowami, całkiem nie zajmowałem się tą sprawą beznadziejną i jałową. Ułożyłem, że w poniedziałek trzeciego tygodnia, aczkolwiek z bólem serca, oznajmię komisarzowi, iż kradzież tramwajowa kwalifikuje się do złożenia w aktach „przestępstw niewykrytych”.

W przeddzień owej smutnej i przykrej dla policjanta ostateczności, zły i zniechęcony, zmieszalem się z gawiedzią niedzielną. Wsiadłem do pociągu podmiejskiego, ażeby pogapić się na zarogatkowe wyścigi. Miało się na deszcz. Tłum w ostatniej chwili nie ryzykując odświeżonej garderoby, machał ręką i powracał do miasta. W wagonie było więc dość przestrono. Na przeciw mnie, miejsce dwuosobowe zajmowała młoda para. Ona rudawa blondynka o powierzchowności modystki, on pleczysty i zażywczy, mógł być kamieniarzem, rzeźnikiem lub w tym rodzaju przedstawicielem ciężkiego rzemiosła.

Uderzyła mnie bardzo wykwintna, trochę jaskrawa i nie dobrze, jakby na prędkę dopasowana ich garderoba. Kapelusze, świetne płaszcze nieprzemakalne, obuwie, rękawiczki, nawet parasole. Błyszczało to jak na wystawie sklepowej i pachniały lakierem, wonią magazynu i warsztatem szewca.

Ona miała przewieszony przez rękę duży kosztowny, z siatki szerokokobitej woreczek, którego otworzenie sprawiało jej trudności. Jej towarzysz wyręczył ją, używając siły swoich rąk czerwonych i muskularnych.

Gdy go nareszcie otworzył, dziewczyna wydobyła z kieszeni starą, mocno zniszczoną portmonetkę i zawartość przekładała do swojej srebrnej torby. Było tam kilka banknotów grubszej wartości, sporo drobnej monety...

Z portmonetki wypadł pomięty bilet tramwajowy i znalazł się pod nosem mojego buta.

Nachyliłem się i pod wpływem nowszej myśli sięgnąłem do pugłaresu, w którym podczas wizyty w tramwaju, ukryłem dwa bilety, na których jeżeli pamiętam, porobiłem notatki.

Nagle krew mi napłynęła do serca. Moje naprędcie poczynione obliczenia sprawdziły się. Bilet nieznanym należał do tejże serii, miał te same barwy numer zaś był o kilka cyfr niższy.

Dojechaliśmy do stacyjki na której młoda parę kazałem zaarrestować.

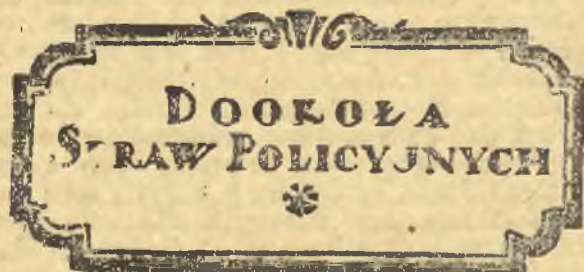
Nazajutrz, po ustaleniu winny Blanki Martin, istotnie pracownicy magazynu strojów, śmiało i dumnie zameldowałem komisarzowi o mojem zwycięstwie.

Jak wam się to podoba moi panowie i czy nie zgadzacie się ze mną że na świecie istnieją jednak cuda?

— Cóż się jednak stało z pieniędzmi? Czy płatnik tramwajowy odzyskał przynajmniej jakąś część pakietu.

— Bardzo w to wątpię. Złodziejka i jej przyjaciel zdążyli przetrwonąć więcej niż trzy czwarte całej sumy. Ona dostała trzy lata ciężkiego więzienia, on za ukrywanie przestępstwa i współudział winy przesiedział za kratami czternaście miesięcy.

Swój.



Opieka policji nad zabytkami sztuki i kultury.

Rozkazem z dnia 20.IV.921 r., Nr. 1526, poleciła okr. km. d. P. P. st. m. Warszawy kierownikom podwładnych tejże komendzie urzędów zaznajomić się z Dekretem Rady Regencyjnej o opiece nad zabytkami sztuki i kultury (Dz. Praw 16 z dnia 8.XI.918), oraz pouczyć podwładne sobie organa, że: 1) funkcjonariusze policji, w razie wypadkowych odkryć wykopalisk przedhistorycznych, winni wstrzymać dane roboty ziemne i zawiadomić (telefonicznie lub telegraficznie) o znalezieniu najbliższy Urząd konserwatorski. 2) Do prowadzenia badań wykopaliskowych może upoważnić osoby postronne jedynie konserwator okręgowy piśmiennem poleceniem. 3) Znalezione poszczególne zabytki lub okazy należy zabezpieczyć i przestać, o ile to możliwe, do Prezydium Państwowego Grona Konserwatorów Zabytków Przedhistorycznych w Warszawie (pałac Staszca) wraz z dokładnem podaniem miejsca znalezienia, nazwiska znalazcy i właściciela gruntu. 4) Funkcjonariusze policji winni strzedz przed zniszczeniem takie nieruchomości zabytki przedhistoryczne. 5) Wszyscy funkcjonariusze policji są obowiązani do udzielenia wydatniej pomocy Konserwatorom Okręgowym i delegatom Prezydium P. G. K. Z. P. na każde ich żądanie. 6) Funkcjonariusze policji winni donieść Konserwatorom o wszystkich osobach, handlujących zabytkami. 7) Wywóz zabytków poza granice Państwa Polskiego jest surowo wzbroniony. W razie usiłowania wywozu zabytków za granicę należy je konfiskować na rzecz Państwowego Muzeum Przedhistorycznego w Warszawie.

Jednocześnie podaje się wykaz okręgów konserwatorskich:

Okręg Warszawski

a) północny-konserwator dr. Roman Jakimowicz, Warszawa, ul. Szygła 5;

b) południowy-konserwator Stefan Krukowski, Warszawa, ul. Śniadeckich 5.

Delegatem Polskiej Komisji Ochrony przyrody jest dr. Hryniewicz Bolesław, Warszawa, Ogród Botaniczny, Aleje Ujazdowskie 6.

Zmiana siedziby.

Komenda P. P. okręgu XIV poleskiego w Brześciu, podaje do wiadomości iż obecnem miejscem jej pobytu jest Brześć litewski a nie Pińsk.

Polacy w policji amerykańskiej.

W liczbie policjantów, świeżo przyjętych znajdują się polacy: Józef Walczak, Rejmund Skiba, Ludwik Kubacki i Hieronim Nowakowski. „Kurjer Polski” (Milwaukee) Nr. 92.

Sprawozdanie sądowe w szkołach policyjnych.

W Manchester, Liverpoolu i niektórych innych miastach angielskich, do programu miejsco-

wych szkół policyjnych, wprowadzono dział sprawozdań sądowych ze spraw kryminalnych i policyjnych. Uczniowie wyższych kursów są wysyłani na rozprawy sądowe. Zdają w szkole sprawę z przebiegu procesów i składają pogląd piśmienny na przebieg akcji. Sprawozdania muszą być przedstawione nauczycielom jeszcze w dniu ukończenia sprawy, a to w celu, aby uczniowie nie czerpali pomysłów ze sprawozdań, ogłaszanych w gazetach. „Morning Post” (Londyn) Nr. 104.

Przeciwno napaściom na policję w prasie.

Szef główny policji hiszpańskiej przedstawił ministrowi spraw wewnętrznych potrzebę ukrócenia napaści ze strony prasy skrajnych partji na policję i jej działalność. W memorjale powiedziano, iż napaści coraz częstsze i bardziej zastrzone wzbudzają nienawiść ludu do służby bezpieczeństwa, która z narażeniem życia przeciwdziała ruchom rewolucyjnym. Z powodu ogłoszenia powyższej wiadomości w prasie lojalnej, pisma skrajne wystąpiły z ostrą krytyką ministra. Ministerjum obmyśla środki konstytucyjne w celu poskromienia szkodzących napaści w prasie. „El Sol” (Madryt) Nr. 98.

Prasa amerykańska o fałszerstwach paszportów w Warszawie.

Napływ do Stanów Zjednoczonych imigrantów za fałszywymi paszportami wzrasta. D. 6 z. m. na Ellis Island pod N. Yorkiem zatrzymano znaczną liczbę imigrantów, zaopatrzone w fałszywane pasporty, fabrykowane w Warszawie i Gdańsku. Większą część, bo aż 95 proc. takich imigrantów stanowią kobiety, oszukane przez pośredników okrętowych. Główny urzędnik imigracyjny Harry H. Schlact dowiedział się, iż fałszowanie paszportów odbywa się na „olbrzymią skalę” w Warszawie, gdzie zarobek się od działających otwarcie kantorów podróży morskich. Dziennik dziwi się, że policja warszawska nie wgląda w tę sprawę. Ofiary oszustwa dopiero po przybyciu do Ameryki dowiadują się, że zostały oszukane. Wszyscy tacy imigranci, ku swojej rozpacz, są zwracani z powrotem do Europy. „N. Y. Herald” Nr. 50.

NA PLACÓWCE.

Melancholia słotnego dnia.

Dzień słotny nastroja każdego człowieka smutnie, o ile ten człowiek nie jest naturalnie dorożkarzem, który na słocie robi doskonałe interesy. Ponieważ nie jestem dorożkarzem, lecz zwykłym śmiertelnikiem, nie mogłem przeto opanować „lirycznego nastroju”, który przeciw mej woli chciał opanować (jak się to mówi za zwyczaj) „moją duszę” i zrobić ze mnie kilkogodzinowego melancholika—walczyłem i przegrałem. Nie udało się. Słowem jestem melancholikiem (moi panowie) i prawdziwy melancholik postanawiam—co? Nie wiecie? Ach, co za brak domyslności! — Postanawiam niezwłocznie odebrać sobie życie!

A zatem żegnajcie!

Żegnajcie mi towarzysze niedoli, która od kolebki szła za mną jako nieodłączny cień. — Dłużej już w tem towarzystwie wytrzymać nie mogę—i nie mam najmniejszego powodu ponieważ jako prawdziwemu melancholikowi, wszystko stało się obojętnem—jeżeli *wszystko*, to w pierwszym rzędzie ludzie. Cóż bowiem znaczą ludzie dla melancholików?—Nic! Melancholik nie może cenić ludzi, ponieważ nie znosi ich towarzystwa. Takie proste. Melancholik nie cierpi ludzi, unika ich,—dla melancholika znajomy, który trzy razy na dzień pyta się z dobrą miną: „co słychać”—jest tak nienawistny, jak pajak dla muchy, która wpadła w siatkę między zbiegającymi się ścianami izby. Melancholik bowiem jest przekonany, że taki miły serdeczny znajomy, spotkał się z nim tylko w tym celu, aby go zamordować. Zostawia go zatem na ulicy, a sam czempredziej ucieka przed siebie—nie odpowiadając na powitanie ani słowa. Jeżeli jednak (co się czasami zdarza) taki fakt drobny, codzienny, nie nie znaczący fakt, skieruje myśl nieszczęśliwego, na drogę odpowiedzi, biedny melancholik jest zgubiony. Bo jakże ściśle dokładnie, rzeczowo a jasno wytłumaczyć: „co słychać”? Wszakże nie może być tu mowy o dzwonkach tramwajowych, turkocie dorożek, lub wogóle o wielkomiejskim zgiełku! Gdyby o to chodziło, to byłoby jeszcze pół biedy. — Ale nie! To podstępne zapytanie jest wypowiedziane w znaczeniu—„co się stało nowego?”, lub „o czem się pan dowiedział?”, albo